

J E R Z Y

EDIGEY



TRZY PŁASKIE
KLUCZE

J E R Z Y
EDIGEY



TRZY PŁASKIE
KLUCZE

Jerzy Edigey

Trzy płaskie klucze

Saga

Trzy płaskie klucze

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Copyright © 1965, 2021 Jerzy Edigey i SAGA Egmont
Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728049747

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Rozdział I

Duża wskazówka na elektrycznym zegarze wiszącym nad schodami, które prowadziły na pierwsze piętro, drgnęła, a następnie skoczyła i ustawiła się na cyfrze 9. Była więc godzina siódma i czterdzieści pięć minut. Za kwadrans w Powszechnym Banku Rzemiosła rozpocznie się nowy dzień pracy.

Starszy woźny, pan Franciszek Zaleski, obciągnął granatowy mundur i zapiał dwa srebrne guziki pod szyją.

— Idę do szatni i otwieram drzwi — powiedział. — A wy, kobietki, pośpieszcie się. Dochodzi ósma, a sala jeszcze nie sprzątnięta. Stasiu, czy w gabinecie pana prezesa woda w karafce zmieniona i popielniczki wyczyszczone? A u dyrektora Helskiego fikus podlany? Atramentu dołałeś?

— Dobrze, dobrze — odburknął młody człowiek. — Pan Franciszek mógłby choć raz coś innego wymyślić. Codziennie to samo. Gabinet prezesa, fikus, atrament.

— Bo wam, młodym, trzeba codziennie o wszystkim przypominać. Sami niczego nie zrobicie. Za moich młodych czasów, kiedy byłem gońcem, a później młodszym woźnym, nigdy bym nie ośmielił się tak odpowiedzieć starszemu od siebie! Mnie nikt nie musiał poganiać. No, idę otwierać.

Pan Franciszek przepracował w tym gmachu przeszło czterdzieści lat. Przed wojną i aż do roku 1948 mieścił się tutaj Bank Komunalny. Później, na krótko tylko, przekształcono go na jeden z oddziałów Narodowego Banku Polskiego. Wreszcie po jednej jeszcze zmianie na drzwiach wejściowych pojawiła się czarna, marmurowa tablica „Powszechny Bank Rzemiosła”. Ciekawe, że wszystkie te

zmiany dotyczyły przede wszystkim nazwy i zakresu operacji bankowych, miały natomiast minimalny wpływ na sprawy personalne. Większość starszych wiekiem urzędników pracowała od czasów przedwojennych. Młodszy również przeżyli zmiany nie ruszając się od swoich biur. A wśród najstarszych seniorów był pan Franciszek.

Właśnie teraz ostatni raz zlustrował spojrzeniem obszerną salę operacyjną. W środku stało kilka kanapek dla klientów oczekujących na swoją kolejną wypłatę. Dalej okrągły pulpit do pisania. Wokół całej sali biegły szklane ścianki z okienkami operacyjnymi. W rogu szerokie schody prowadziły na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się gabinety naczelnego dyrektora i jego zastępcy, wydział prawny, personalny, wydział obrotu bezgotówkowego i hala maszyn.

Kiedy pan Franciszek stwierdził, że wszystko jest w porządku, przeszedł do małego hallu, do którego prowadziły drzwi w drugim rogu sali. Tu znajdowała się szatnia i aparaty telefoniczne do użytku klientów. Tutaj też cały dzień siedział jeden ze strażników. Natomiast drugi z wysokości pierwszego piętra obserwował wszystko, co się dzieje na sali operacyjnej. Na razie obydwaj gawędzili w szatni.

— Panowie, na swoje miejsca. Otwieram drzwi.

— Dopiero za kwadrans ósma. Jeszcze czas.

— Nie ma czasu. Tylko patrzeć, jak przyjdzie pan dyrektor Helski.

— On zawsze pierwszy! Jak pracuję tu trzy lata, to jeszcze nie widziałem, żeby ktoś przyszedł przed nim.

— Trzy lata! — roześmiał się Franciszek otwierając z klucza szerokie drzwi prowadzące na narożnik placu Wielkiego Cesarza i ulicy Genialnego Muzyka. — Trzy lata... Pamiętam, było to w 1932... Nie, w 1933 roku. W czerwcu. Stałem w szatni tak jak dzisiaj. Była równo za dziesięć

ósma. Nagle otwierają się drzwi i wchodzi młody, nie znany mi człowiek. Więc mówię, że dla klientów bank dopiero czynny od dziewiątej. A młodzieniec odpowiada, że jest nowym urzędnikiem i od dzisiaj zaczyna pracę. Nazywa się Zygmunt Helski i został przyjęty do wydziału czekowego. Kierownikiem tego wydziału był wtedy pan prokurent Dzierżanowski. Zginął w powstaniu, na Mokotowie. Od tego dnia pan Helski zawsze był pierwszy. Najpierw siedział na drugim miejscu w wydziale czekowym. Później przeszedł do dziennika podawczego. Pięć lat pracował w księgowości. Następnie wrócił na salę, ale już do kontroli. Potem awansował na zastępcę działu rozrachunków międzymiastowych. Został prokurentem. A teraz jest zastępcą prezesa.

W tej chwili w drzwiach stanął niski mężczyzna w wieku po pięćdziesiątce, elegancko i bardzo spokojnie ubrany.

— Moje uszanowanie panu dyrektorowi.

— Jak się pan ma, Franciszku. Zawsze na posterunku. W banku wszystko w porządku?

— Czy mogłoby być inaczej? — pytaniem odpowiedział Franciszek pomagając dyrektorowi Helskiemu zdjąć płaszcz i wieszając go pieczołowicie na ramiączku.

— Sam sprawdzę.

— Wszystko musi obejrzeć osobiście — uśmiechnął się jeden ze strażników spoglądając na dyrektora, który przeszedł wzdłuż sali operacyjnej, a następnie otworzył niskie drzwiczki i lustrował kolejno stanowiska bankowe, poczynając od wydziału inkasa poprzez czekowy, kontrolę kasy aż do biura podawczego i pomieszczenia księgowości przyległego do sali operacyjnej. Obok wydziału księgowości znajdowały się wewnętrzne schody. Prowadziły na dół. Tutaj mieścił się skarbiec banku, sejfy oraz archiwum. I tych zakamarków dyrektor Helski nie omieszkiał skontrolować osobiście. Nawet jeden ze

strażników podzielił się z panem Franciszkiem uwagą, że dyrektor długo dzisiaj bawi w podziemiu. Wreszcie dyrektor powrócił i skierował się na piętro do swojego gabinetu.

Tymczasem w szatni było coraz pełniej. Urzędniczek i urzędnicy wchodzili do banku, szybko zdejmowali okrycia i zajmowali swoje miejsca. Punkt ósma prawie wszyscy byli już na stanowiskach. Odezwały się maszyny do pisania, zaklekotały maszyny rachunkowe. Bank rozpoczął dzień normalnej pracy. Parę minut po ósmej, zgodnie ze zwyczajem, pan Franciszek ponownie zamknął na klucz wejściowe drzwi. Jego pomocnik, Stanisław Nawrocki, zaniósł książkę obecności do kierownika sali operacyjnej dyrektora Jana Lisaka, urzędującego w szklanej klatce tuż obok kasy. Drzwi banku zostaną otwarte punktualnie o dziewiątej, a jednocześnie z odgłosem otwieranych drzwi otworzą się wszystkie okienka na sali operacyjnej.

Przedtem jednak, co było już tradycją od założenia w tym gmachu banku, główny kasjer, a był nim obecnie Adam Jarosz, razem ze swoim pomocnikiem Edwardem Srockim muszą podjąć pieniądze ze skarbca. Dyrektor Helski i kierownik sali Lisak za dziesięć dziewiąta zjawili się przed kasą. Każdy z nich trzymał w ręku długi, płaski klucz.

— Idziemy? — zapytał dyrektor Helski.

— Tak jest, panie dyrektorze — odpowiedział kasjer. — Zabieram ze skarbca tylko wczorajszy obrót. Zgodnie z arkuszem kasowym zostało z wczorajszego dnia 5 763 817 złotych. To nam powinno wystarczyć na dzisiaj.

— Chodźmy — rzekł Lisak.

Trzej mężczyźni zeszli schodkami do podziemia. Za nimi kroczyli Edward Srocki i młodszy woźny Stanisław Nawrocki. Zadaniem tej dwójki był transport pieniędzy i dokumentów na górę po wyjęciu ich z trezora. Do skarbca wchodził tylko główny kasjer. Nikt poza nim, nawet prezes banku, nie miał tego prawa.

Na dole znajdował się niewielki hall. Były tu trzy pary drzwi. Na jednych z nich wisiała tabliczka „Archiwum”. Drugie, właśnie półotwarte, pozwalały dostrzec, że znajduje się tam dość obszerne pomieszczenie wypełnione rozmaitymi, widocznie nie używanymi już meblami. Wśród nich znajdowała się lodówka. Była czynna. Jej motor pracował z cichym warkotem. Po otwarciu trzecich drzwi trzech panowie stanęli przed grubą metalową kratą. Adam Jarosz wyjął z kieszeni duży metalowy klucz na kółku i otworzył nim zasuwę. Krata otwierała się do wewnątrz.

Był to dość długi pokój, a raczej korytarz. Całą jedną ścianę stanowiły różnej wielkości metalowe drzwiczki. To sejfy bankowe wynajmowane klientom dla przechowywania wartościowych depozytów. Po drugiej stronie tego pomieszczenia znajdowało się kilka budek, przypominających wyglądem budki telefoniczne, lecz z matowymi szybami. W tych budkach klienci banku, nie narażeni na wścibskie spojrzenia, mogli przeglądać zawartość swoich sejfów. Na końcu korytarza z sejfami znajdowała się jeszcze jedna krata oddzielająca je od właściwego skarbcza. Tę kratę otworzył Jarosz drugim ze znajdujących się na kółku kluczy.

Trzej dyrektorzy weszli do małego, prawie kwadratowego pokoiku. Srocki i Nawrocki czuwali w pogotowiu w korytarzu sejfowym. Jedną ścianę kwadratowego lokum stanowiły wielkie pancerne drzwi. Zamiast klamki miały w środku spore metalowe koło. Obok niego pionowo, jedna pod drugą, znajdowały się trzy dziurki od kluczy. Zamykały je mosiężne zastawki.

Teraz zaczął się codzienny poranny ceremoniał. Trzej mężczyźni stanęli o jakieś dwa metry od pancernych drzwi. Dyrektor Helski podszedł do stalowej ściany, trzymany w ręku klucz włożył w górną dziurkę i przekręcił. Coś cicho stuknęło w głębi skarbcza. Helski wrócił na swoje miejsce, a

z kolei do pancernych drzwi zbliżył się Jan Lisak. Podobnym płaskim kluczem otworzył drugi zamek. Gdy wrócił na poprzednie miejsce, do skarbca podszedł główny kasjer. On również miał w ręku płaski klucz. Szczęknęła trzecia zapadka.

Jarosz pokręcił metalowym kołem. Ostatnie rygle zostały zwolnione i wielkie pancerne drzwi skarbca uchyliły się lekko, bez najmniejszego szmeru. Dopiero teraz można było zauważyć, że stalowy pancerz miał prawie pół metra grubości.

Wewnątrz znajdowało się kwadratowe pomieszczenie mniej więcej dwa na dwa metry, wyłożone pancernymi blachami. Wszystkie ściany od góry do dołu zajmowały półki. Na dolnych przechowywano najcenniejsze księgi rachunkowe banku, dowody kasowe i depozyty. Wyżej znajdowały się pękate teczki z papierami wartościowymi i z weksłami. Po bokach umieszczono druki ścisłego zarachowania — książeczki czekowe i blankiety wekslowe. Na samym środku stał duży kufer z dwoma uszami. Codziennie o godzinie drugiej, a więc po zamknięciu kasy, główny kasjer wraz ze swoim pomocnikiem umieszczali w tym kufrze dzienny obrót banku oraz księgę główną kasy i arkusz kasowy. Następnie kufer wędrował na noc do skarbca otwieranego i zamykanego zawsze z takim samym ceremoniałem. Każdy z dyrektorów miał jeden klucz. W czasie nieobecności jednego z nich pancernych oddrzwi nie można było otworzyć.

Jarosz wszedł do skarbca. Chwycił kuferek za jedno ucho i wyciągnął na zewnątrz. Potem ponownie wszedł do wnętrza kasy pancernej, aby wyjąć teczki z weksłami, których terminy płatności wypadały w tym tygodniu. Gdy odszukiwał wśród stojących teczek potrzebne mu dokumenty, przypatrujący się tym czynnościom Jan Lisak

nagle zbladł. Chciał krzyknąć, ale zdołał jedynie wybełkotać drżącym ze zdenerwowania głosem:

— Górna półka... Rezerwa bankowa... Gdzie jest rezerwa?

Wszyscy spojrzeli w głąb kasy. Rzeczywiście, górna półka była zupełnie pusta. A przecież jeszcze wczoraj, gdy po południu zamykano skarbiec, leżała tutaj jak zwykle rezerwa bankowa. Dziesięć milionów złotych w nowiutkich banknotach, opakowanych w paczkach po sto sztuk. Główny kasjer wiedział na pamięć, że dziewięć milionów dziewięćset pięćdziesiąt tysięcy złotych jest w banknotach pięćsetzłotowych. Reszta w setkach, pięćdziesiątkach i dwudziestkach. Teraz zdziwionymi i przerażonymi oczami oglądał puste miejsce. Nie dowierzając zmysłowi wzroku, podszedł do półki i przeciągnął po niej ręką. Palce natrafiły na papierek leżący nieco w głębi, tak że nie było go widać. W rękę trzymał niebieską dwudziestkę. Wszystko, co pozostało z dziesięciu milionów.

Pierwszy opanował się dyrektor Helski.

— Proszę, niech panowie pozostaną na swoich miejscach. Idę po prezesa.

Za chwilę wrócił z naczelnym dyrektorem, Marianem Chudzińskim. W tym banku, tak pełnym tradycji, nikt nie nazywał Chudzińskiego „naczelnym dyrektorem”, mimo że oficjalnie nosił taki tytuł. Zawsze zwracano się do niego „panie prezesie”, gdyż przed wojną tak nazywano ówczesnego kierownika Banku Komunalnego. Przeto i teraz Helski, mimo zdenerwowania, tłumaczy panu prezesowi, że z kasy zniknęło w ciągu nocy 10 000 000 złotych.

Marian Chudziński uważnie obejrzał skarbiec, ale stwierdził jedynie to, co już spostrzegli poprzednicy: pieniędzy w trezorze nie było.

— A czy jest gotówka obrotowa z wczorajszego dnia?

— Tak jest, panie prezesie — przytaknął Adam Jarosz pochylając się nad kufrem. — Koperty, w które osobiście pakowałem banknoty, leżą nie naruszone. Również woreczki z bilonem są na swoim miejscu.

— No cóż, sami nic nie poradzimy. Niech panowie biorą kufer na górę i rozpoczynają urzędowanie. Pan Srocki zawoła strażnika z szatni i pozostanie z nim przy skarbcu. Proszę niczego nie dotykać. I nie zamykać drzwi pancernych! Dyrektor Lisak natychmiast zawiadomi milicję. Oczywiście wszyscy są obowiązani utrzymać całe zdarzenie w tajemnicy.

— To niewykonalne, panie prezesie. Sam fakt sprowadzenia strażnika na dół do skarbcza już wywoła sensację. Nie mówiąc o pojawieniu się milicji.

— Ma pan rację, dyrektorze. Ale nie chodzi mi o ukrycie tych przykrych wydarzeń przed naszymi pracownikami. Zdaję sobie sprawę, że jest to niemożliwe. Pragnę jednak uniknąć niezdrowej sensacji, która mogłaby zakłócić normalny tok pracy i zaszkodzić opinii naszego banku. Najlepiej chyba będzie, jeżeli panowie dyskretnie, bez przerywania urzędowania, poinformują pracowników o kradzieży i uprzedzą ich o przyjeździe milicji. Ja będę jej oczekiwał w moim gabinecie.

Ktokolwiek tego ranka załatwiał jakieś sprawy w gmachu Powszechnego Banku Rzemiosła, musiał być zdziwiony dziwnym podnieceniem, które w widoczny sposób dawało się zauważyć w tej zawsze spokojnej i zrównoważonej instytucji. Na realizację czeku trzeba było czekać aż dwadzieścia minut. Zjawisko w Powszechnym Banku Rzemiosła wprost niesłychane. Urzędnicy szeptali po kątach lub zbierali się w małe grupki. Główny kasjer, słynący z błyskawicznego liczenia banknotów, dziś opieszale załatwiał klientów, liczył pieniądze powoli, a nawet dwa czy trzy razy się omylił. Symbol spokoju,

opanowania i grzeczności, starszy woźny pan Franciszek, również był wyraźnie roztargniony. Pewną klientkę chciał ubrać w granatowy płaszcz wartownika. Co gorzej, kanonikowi z Łowicza podał różowy kapelusik z figlarnym zielonym piórkiem.

Dyrektor Lisak zawiadomił telefonicznie prezesa banku, że porozumiał się już z Komendą MO m. st. Warszawy i z Pałacu Mostowskich natychmiast wysyłają ekipę śledczą. Rzeczywiście, pół do dziesiątej przed bankiem zatrzymały się dwie „Warszawy” i pięciu ludzi — dwóch w ubraniach cywilnych i trzech mundurowych — wkroczyło na salę operacyjną. Pan Franciszek skierował ich do siedzącego w swoim oszklonym boksie Jana Lisaka.

— Jesteśmy z MO. Moje nazwisko Jarkowski. Piotr Jarkowski z Komendy Stołecznej. To pan do nas dzwonił? Mieliście w banku włamanie?

— Może najpierw panowie pozwolą do gabinetu prezesa banku pana Chudzińskiego. Prezes udzieli wszelkich informacji.

Milicjanci przeszli na górę. Lisak wprowadził ich do obszernego, elegancko umeblowanego pokoju, gabinetu naczelnego dyrektora. Chudziński wraz z Helskim powitali wchodzących, a prezes przedstawił przebieg wypadków dzisiejszego dnia. Specjalny nacisk położył na to, że dochodzenie winno się odbywać bez zawieszania urzędowania w banku i naturalnie bez robienia sensacji wokół tej sprawy.

— Sensacji trudno będzie uniknąć. Wiadomość o kradzieży tej miary rozniesie się po mieście lotem błyskawicy. Za dwie godziny ludziska będą rozpowiadać na bazarze Różyckiego, że ze skarbca banku skradziono sto milionów dolarów. A najdalej za cztery godziny zwali się panom na głowę cała warszawska prasa. Nie o to zresztą chodzi. Powiadacie, panowie, że wczoraj zamknęliście

skarbiec, a dzisiaj był tak samo zamknięty, lecz pusty? I żadnych śladów włamania?

— Sam pan zobaczy, kapitanie.

— Tajemnicza sprawa.

— Bardzo panów proszę o uwzględnienie mojej prośby — mówił dalej prezes. — Co do prasy, to mam nadzieję, że uda nam się przekonać stołeczne dzienniki, aby opublikowały najwyżej krótkie wzmianki. Jesteśmy zaprzyjaźnieni z prasą stołeczną. Niepotrzebna sensacja jest dla nas bardziej szkodliwa niż sama strata materialna. Jak na operacje naszego banku, nie jest aż tak wielka, żeby mogła stworzyć choćby najmniejsze trudności w działalności naszej instytucji.

— Jednak to dziesięć milionów — zauważył jeden z milicjantów.

— Nasz dzienny obrót jest wielokrotnie wyższy — z naciskiem powiedział dyrektor Helski.

— Ja muszę zaraz jechać do Ministerstwa Finansów i złożyć wyjaśnienie w sprawie kradzieży — powiedział prezes Chudziński. — Bardzo proszę, aby panowie korzystali z wyjaśnień dyrektora Helskiego, który w naszym banku pracuje od 30 lat i zna tu wszystko lepiej ode mnie. Oczywiście w razie potrzeby mogą panowie dysponować pozostałymi pracownikami banku.

— Pan prezes pozwoli, że najpierw obejrzymy skarbiec. Spróbujemy odnaleźć jakieś ślady, chociaż wątpię. Jeśli nawet były, to otwierając rano kasę musieliście je niechcący zatrzeć. A potem rozejrzymy się w terenie i dopiero wówczas poprosimy dyrektora Helskiego o informacje i naradzimy się, co robić dalej.

— Może więc dyrektor Helski zaprowadzi panów do podziemia. Ja na razie panów pożegnam.

W ciągu godziny ekipa milicyjna dokonała najrozmaitszych czynności w skarbcu. Daktyloskop zebrał

pokażną ilość odcisków, fotograf zrobił serię zdjęć. Wymierzono dokładnie cały trezor i szczegółowo zbadano mechanizm zamków skarbcza. Nie wykazywały one najmniejszych śladów uszkodzenia. W końcu kapitan Jarkowski polecił zamknąć skarbiec — a trzeba było w tym celu sprowadzić wszystkich trzech dyrektorów — i odesłał strażnika oraz pomocnika kasjera na górę. Jedna z milicyjnych „Warszaw” odjechała wraz z trzema umundurowanymi przedstawicielami MO. Natomiast dwaj panowie w cywilu spacerowali przez chwilę po sali operacyjnej nad czymś się naradzając. Następnie niższy z nich, porucznik Roman Widera, usiadł na kanapce i zaczął robić notatki. Kapitan Jarkowski poszedł na piętro. Otworzył drzwi do gabinetu dyrektora Helskiego.

— Chciałbym z panem porozmawiać.

— Proszę bardzo. Niech pan siada, kapitanie. Kawa czy herbata?

— Dziękuję. Ani jedno, ani drugie.

— Więc chociaż papierosa — dyrektor podsunął „służbową” paczkę „Waweli” leżącą na biurku. — Czym mogę służyć?

— Obejrzeliśmy cały skarbiec. Bardzo dokładnie zbadaliśmy rygle pancernych drzwi kasy. Nie ma żadnych uszkodzeń ani żadnych śladów.

— Tak?

— Stąd prosty wniosek. Pieniądze wziął ten, kto ma klucze.

Dyrektor Helski roześmiał się sucho.

— A więc my trzej. Każdy z dyrektorów ma jeden klucz.

— Niekoniecznie trzej. Wystarczyło się umówić i dać klucze jednemu z panów. Do otwarcia zamku nie potrzeba trzech ludzi. Potrzeba jedynie trzech kluczy. To obojętne, w ilu one będą rękach.

— Pan w to wierzy, kapitanie, że okradliśmy własny bank? W którym każdy z nas pracuje co najmniej 25 lat?

— Moja wiara nic do tego nie ma. Natomiast jest faktem, że nikt obcy nie mógł ukraść. Nie łudźmy się. Ukradł jeden z pracowników lub szajka składająca się z pracowników banku. To nie ulega wątpliwości. Dlatego też w tej chwili podejrzanym jest dla mnie każdy pracownik banku.

Również panowie dyrektorzy. Panowie są dodatkowo obciążeni, ponieważ jesteście jedynymi ludźmi, mającymi klucze do skarbca. Chyba że istnieje jeszcze jeden komplet?

— Istnieje. Na wypadek, gdyby któryś z naszych kluczy zepsuł się lub zginął.

— Gdzie jest ten komplet?

— Zapasowe klucze są zdeponowane w Komendzie MO m. st. Warszawy w Pałacu Mostowskich.

Rozdział II

— W Komendzie Milicji — powtórzył jak echo kapitan Piotr Jarkowski.

— Posiadamy dwa komplety kluczy do skarbca. Jeden, jak już pan wie, rozdzielony jest między trzech wyższych urzędników banku, aby tylko wspólnie mogli otworzyć pancerne drzwi. Drugi komplet trzymaliśmy początkowo w Narodowym Banku Polskim. Później jednak kontrola NIK zwróciła nam uwagę na mogące wyniknąć z tego niebezpieczeństwo — jeden człowiek mający klucz do sejfu NBP ma również dostęp do naszych kluczy. Po namyśle i dość długiej korespondencji, gdyż Komenda MO wcale się nie kwapiła do przyjęcia tego rodzaju depozytu, złożyliśmy komplet kluczy w Pałacu Mostowskich z tym zastrzeżeniem, że w razie potrzeby milicja przyjedzie z kluczami do banku i będzie obecna przy otwieraniu trezora.

— W ten sposób — zakończył dyrektor Helski — wyposądzacie nas, a my możemy z równym skutkiem twierdzić, że skarbiec został otwarty kompletem kluczy znajdujących się w Pałacu Mostowskich.

Kapitan roześmiał się.

— Oczywiście sprawdzimy i tę ewentualność, ale jest ona mało prawdopodobna. Ani milicjant, ani żaden cywil nie mógł z zewnątrz wejść po godzinie drugiej po południu nie tylko do skarbca, ale nawet do gmachu banku. A gdy w pół godziny później umieszczaliście wczoraj kufer w kasie z obrotem dziennym, pieniądze leżały przecież na górnej półce nienaruszone. Przestępstwa dokonano przeto

pomiędzy godziną trzecią wczoraj po południu a ósmą rano dnia dzisiejszego. Chciałbym obejrzeć te wszystkie klucze.

— W tej chwili poproszę tutaj dyrektora Jana Lisaka i dyrektora Adama Jarosza. Oto mój klucz.

Kapitan wziął podany mu przedmiot i uważnie go obejrzał. Był to płaski klucz zrobiony z jakiegoś białego, podobnego do srebra metalu. Wyglądał jak popularny „Yale” od zatrzasku do drzwi, tylko znacznie dłuższy. Na jego płaskim łebku nad okrągłą, niewielką dziurką oficer MO odczytał napis „Henry Kane”, a pod spodem „London, England”. U nasady klucza z jednej strony wygrawerowany był „1902”, z drugiej „6755”. Klucze, które kapitan następnie oglądał u pozostałych dwóch ich posiadaczy, były identyczne. Miały tylko nieco inny układ ząbków. Ich numery brzmiały: „6754” i „6756”.

Oglądając wszystkie trzy klucze przez silnie powiększające szkło kapitan nie wykrył na nich najmniejszych śladów zadrapań czy szczerb. Oficera MO zastanowiła również ich waga. Były bardzo ciężkie.

— To chyba nie stal?

— Nie, kapitanie. To stop irydu z platyną. Bodaj najtwardszy ze znanych na świecie metali. Nasz bank został wybudowany w 1901 roku, a uruchomiony w rok później. Wówczas ten skarbiec był ostatnim wyrazem techniki w tej dziedzinie. Budowali go Anglicy z firmy „Henry Kane”. Data na kluczu oznacza rok produkcji kasy, a numer jest kolejnym numerem produkcji każdego kompletu. Stop jest tak twardy, że chociaż te klucze używane są bez przerwy od przeszło sześćdziesięciu lat, nie ma na nich najmniejszych znaków zużycia. Tymi kluczami można nawet szkło krajać.

— A te zdeponowane w Komendzie Milicji są takie same?

— Nie. W czasie Powstania Warszawskiego przepadł nam drugi komplet kluczy, więc dorobiliśmy zapasowy, lecz już

ze stopu używanego normalnie do produkcji „Yale”. Właśnie ten „normalny” komplet został złożony w MO.

— Wiem, że fabryki kas pancernych robią zwykle trzy komplety kluczy. Gdzie jest ten trzeci komplet? Bo nawet wszystkie zasuwę i zatrzaski mają potrójne zestawy...

— Ma pan rację. Pierwotnie nasz skarbiec miał także trzy komplety. Przechodziły one różne koleje. Można by o tym całą książkę napisać. W czasie pierwszej wojny światowej nasz bank był ewakuowany aż do Samary, dziś Kujbyszew. Dwa komplety kluczy zostały w Warszawie, trzeci wędrował po różnych miastach Rosji i wrócił do Polski razem z archiwum bankowym dopiero w 1922 roku. W okresie międzywojennym jeden komplet, ten „roboczy”, posiadali nasi poprzednicy, drugi miał prezes banku Jacek Potulicki, a trzeci prezes rady nadzorczej Artur Śliwowski.

— Potulicki zginął w Lublinie?

— Widzę, że pan kapitan jest doskonale poinformowany o wielu sprawach. Istotnie, prezes Potulicki eskortując część skarbca Banku Polskiego, papiery oraz pieniądze Banku Komunalnego zginął w czasie nalotu w dniu 8 września 1939 roku na ulicy w Lublinie. Bomba trafiła w samochód, który wraz ze wszystkimi pasażerami dosłownie rozniosło na drobne kawałki. Ponieważ obok stała ciężarówka z beczkami benzyny, pożar strawił wszystko, co jeszcze mogło pozostać po eksplozji bomby. W ten sposób straciliśmy pierwszy komplet kluczy.

— Prezes Potulicki miał przy sobie te klucze? Jest pan tego pewien?

— Jak najzupełniej. Prezes był doświadczonym, wytrawnym bankowcem. Klucze zawsze nosił przy sobie. Trzymał je w kamizelce na specjalnym łańcuszku i nigdy się z nimi nie rozstawał. Doceniał ich znaczenie. To nie to, co teraz, gdy nasz bank jest przede wszystkim instytucją sprawdzającą prawidłowość różnych list płacy i kontystą

obrotów bezgotówkowych. Przed wojną, panie kapitanie, mieliśmy w naszym skarbcu kwoty sięgające nieraz paru milionów dolarów. I to tych dobrych dolarów sprzed dewaluacji. Przekazanie kluczy prezesowi banku i prezesowi rady nadzorczej było dowodem wysokiego zaufania akcjonariuszy do władz instytucji.

— Mniejsza z tym — kapitan machnął ręką. — Nie chodzi nam o tych panów, tylko o klucze. Przyjmijmy, że jeden komplet zginął w Lublinie. Co się stało z drugim?

— Po śmierci prezesa Potulickiego jego stanowisko objął Artur Śliwowski. Muszę tu wyjaśnić, że pan Śliwowski prócz funkcji prezesa rady nadzorczej Banku Komunalnego piastował godność naczelnego dyrektora Banku Amerykańskiego, który mieścił się przed wojną przy ulicy Królewskiej, tuż obok Polskiej Agencji Telegraficznej. Bank ten, wbrew nazwie, związany był z kapitałami włoskimi i austriackimi. Spłonął we wrześniu 1939 roku, a w czasie okupacji nie wznowił działalności. Prezes Śliwowski mieszkał przy ulicy Focha koło placu Teatralnego i w parę dni po wybuchu powstania został wraz z innymi mieszkańcami tej dzielnicy zamordowany przez hitlerowców w gmachu Teatru Wielkiego. Jego mieszkanie spłonęło. W ten sposób przepadł drugi komplet kluczy.

— A sam bank? Też się spalił?

— Nasz bank ocalał, spłonęło jedynie górne piętro. Pociski zniszczyły też mocno salę operacyjną. Natomiast podziemie zostało zalane wodą, co zresztą uchroniło skarbiec i sejfy przed rabunkiem hitlerowskim. Szczęśliwym trafem wszyscy trzej posiadacze „roboczego” kompletu kluczy, a wśród nich był pan Jarosz, ja oraz zmarły później dyrektor Dzierżanowski, ocalili z zawieruchy wojennej i ocalili swoje klucze. W lecie 1945 roku rozpoczęła się odbudowa banku. Wypompowano wodę z podziemi. Skarbiec zdał swój egzamin. Płyta pancerna jak

zawsze odchyliła się lekko i cicho, a we wnętrzu nie było ani kropelki wody. Ocalały także wszystkie sejfy, chociaż do niektórych zakradła się wilgoć.

— Czy próbowaliście dostać z Londynu nowe klucze?

— Oczywiście. Początkowo nikt w kraju nie chciał się podjąć zrobienia duplikatów. Za pośrednictwem naszej ambasady w Anglii usiłowaliśmy odnaleźć fabrykę, aby zamówić nowy komplet. Okazało się jednak, że firma nie istnieje już od przeszło dwudziestu lat, a tego rodzaju zamków obecnie się nie produkuje. W końcu po wielu nieudanych próbach fachowcy z Fabryki Maszyn Precyzyjnych wykonali zastępczy komplet. Uprzedzili jednak, że raczej należy używać dotychczasowych kluczy, a dorobione traktować jako rezerwę.

Przez parę chwil kapitan robił w milczeniu notatki w swoim brulionie. Następnie spojrzał pytająco na dyrektora Helskiego. Ten uśmiechnął się blado i rzekł:

— To naprawdę wszystko, co wiem o kluczach.

— Przyjmijmy, że tak było. Oczywiście sprawdzimy dokładnie te stare historie. Ale na tym sprawa kluczy jeszcze się nie wyczerpuje. Dostęp do skarbca chroniony jest, jak zauważyłem, również przez dwie stalowe kraty. W nich także są zamki. Kto ma do nich klucze?

— Klucze do obu krat posiada główny kasjer, czyli dyrektor Jarosz. Przyznam się, że do tych kluczy nie przywiązywaliśmy większego znaczenia. W godzinach załatwiania klientów pierwsza krata zawsze jest otwarta. Zamyka się jedynie drugą, prowadzącą bezpośrednio do pomieszczenia przytykającego do trezora.

— Dlaczego?

— Pierwsza krata zamyka wejście na korytarzyk, wzdłuż którego ciągną się sejfy. W tych sejfach klienci nie trzymają wprawdzie jak dawniej złota i kosztowności, niemniej wiele spółdzielni rzemieślniczych, a nawet osób prywatnych, nie